

Autokomentarz

Bezustannie towarzyszy mi poczucie zbyt szybko upływającego czasu. Nie tak dawno przecież rozpoczęłam kontynuację przygody ze studiami artystycznymi, a już przyszło mi żegnać mury uczelni. Ba! Rok 2020 tyle co miał swój początek, a jego połowa – czy to przez spędzenie jej w znacznym stopniu w domu, czy przez powtarzalność dni, czy raczej w wyniku płynnego charakteru czasu – właśnie mija. I choć to naturalny, zwyczajny tok, to pojawia się we mnie niezgoda na taki stan rzeczy. Niekiedy chciałabym mieć moc „zapauzowania” czasu, by oddać się – choć na chwilę – kontemplacji otaczającego świata. Zachwytu nad *teraz* i *dziś*, bez rozważań nad *wczoraj* i *jutro*.

Co zrobić z czasem utraconym? Czy niemal cztery godziny poświęcone na dojazdy muszą być zmarnowane? Podróżując komunikacją zbiorową, ukazuje się nam przekrój części społeczeństwa uczącego się i pracującego. I trzeba przyznać, że jego wygląd różni się w zależności od pory dnia. Wczesnym rankiem, wewnątrz busa spowite niebieskawą poświatą lampek wypełnia się sennymi pracownikami rzeszowskich firm i uczniami liceów. To czas ciszy, gdy niemal nikt nie rozmawia, a spora część osób przeznacza go na uzupełnienie niedoborów snu. Dla mnie to były momenty na medytację, przemyślenie i ułożenie na nowo wszelkich aspektów życia. Dlaczego maluję? Co pcha mnie do rozstawienia płótna i farb, do spędzania długich godzin w oparach terpentyny? Przyznam, że nie wiem. Podczas studiów był to oczywiście niekiedy przymus, konkretne zadanie do wykonania, konieczność posiadania określonej ilości prac na koniec semestru. Ale bez tej presji również tworzę. Nie określiłabym tego stanu jako imperatyw – oj, to zbyt mocne słowo, jednak często odczuwam bliżej nieokreśloną potrzebę opowiedzenia świata za pomocą innego języka. Popołudniami jaskrawozielone busy znów zapełniają się podróżnymi. Jakże jednak inny klimat unosi się w powietrzu. Owszem, nadal towarzyszy im nerwowy pośpiech, ale podążają oni już nie do miejsc niechcianych, a do swoich domów. Niemal namacalne jest radosne oczekiwanie na zasłużony odpoczynek. Klimatyzowane powietrze zapełniają rozmowy młodzieży i żarty kierowców. W miarę upływu dnia konwersacje cichną, by wieczorny spokój przerywać tylko krótkim: *Do widzenia! Dobranoc*. Całemu procesowi towarzyszy

umykający, wciąż zmieniający się pejzaż. I to właśnie on stanowił dla mnie główną inspirację.

Cykl *FLUKTUACJE* powstał w malarskiej pracowni dyplomowej. Stanowi część artystyczną mojej pracy magisterskiej i składa się z dwunastu obrazów przedstawiających pejzaże zainspirowane terenami Pogórza Karpackiego. Każda z odsłon wyklarowała się pod baczным wzrokiem prowadzących – dr hab. prof. UR Antoniego Nikła i dr hab. prof. UR Marka Pokrywki. To ich cenne uwagi naprowadzały mnie na właściwe tory. Podczas malowania najczęściej towarzyszyła mi muzyka i miała ona ogromny wpływ na tworzenie. Płynność melodii i bogata warstwa tekstowa przeplatały się z moimi emocjami. Rezonowały ze sobą. O ile inspiracją były sytuacje codziennego życia i towarzyszący im soundtrack, to pejzaż jest alfabetem. Dojeżdżając z Korczyny do Rzeszowa, patrząc na te niekiedy zielone, niekiedy brązowo-szare, to znów skąpane w słońcu litery, składam słowa. Z tych słów zdania. I tak zapisuję olejną farbą moje reakcje na otoczenie. Wzburzenie miesza się ze spokojem, smutek z radością. To moje demony i anioły hasające po okolicznych lasach. Przedstawiam tu nie-konkretne miejsca, one nie istnieją w rzeczywistości, przynajmniej nie w takiej formie. Gdy po dwumiesięcznej przerwie spowodowanej pandemią jechałam przez tereny Krasnej, Lutczy i Niebylca, doznałam niemałego szoku, że świat może mieć tyle przestrzeni. Dziwne, że przez dwa miesiące zdążyłam zapomnieć o tym pięknie, wszak widok z domowego okna też mam wspaniały. Paleta barw moich płócien jest intensywna. Czy to zachwyt nad potęgą koloru u Marka Rothko, którego prace pozostają moim niedoścignionym ideałem? Nie wiem. Nawet gdy przy przystępowaniu do pracy zakładałam sobie, że tym razem skupię się na stonowanych odcieniach szarości, to w miarę postępów i tak spod pędzli kreował się nadrealny świat różu, zieleni i złamanych czerni z dominującym, zewsząd wyłaniającym się błękitem. Najwyraźniej na dnie mojego serca mieszka kolor niebieski. Obraz to barwy, napięcia pomiędzy nimi, wystarczy dać się nieść ich poetyckości. Nie potrzeba nic więcej.

Odkąd pamiętam, miałam problem ze szkicowaniem. O ile w liceum, czy na pierwszym roku studiów traktowane głównie jako ćwiczenie warsztatu nie sprawiało mi problemu, o tyle wykonanie szkicu, choćby jednego w celu przygotowania do konkretnego większego obrazu, wydaje mi się zbędne. Albo raczej przeszkadzające. Nie wiem, jak obraz będzie wyglądał po ukończeniu pracy, po cóż więc miałabym

w jakikolwiek sposób go planować. Oczywiście, przystępując do pracy mam w głowie jakiś ogólny zarys etapu końcowego, ale nie jest on zobowiązujący. Obraz płynie, płynie czas, a wraz z nimi ja. To szczere wyznanie, które nie potrzebuje planu ramowego. Z tego też powodu szkice do obecnego cyklu w zasadzie nie istnieją. To jakieś szczątki koncepcji, niepokrywające się ani ze stanem początkowym, ani w trakcie procesu i przede wszystkim z finałem. Są zbędne.

Chyba największym wyzwaniem podczas pracy nad obecnym cyklem był dla mnie format. Gdy powierzchnia płótna zaczyna sięgać 1m², to przestaję nad nim panować. Ale taka zmiana, mierzenie się z trudnościami ma również potencjał wyzwalający – wszak wraz z upływającym czasem, uciekającymi emocjami i wciąż jeszcze niedostatecznie zamalowanym płótnem pojawia się potrzeba użycia szerszego pędzla, szybszego nakładania farby, wyjścia poza bezpieczną strefę, gdzie nad wszystkim mam kontrolę. Pojawia się przypadkowość, ale gdy dołączyć do niej jednak odrobinę więcej trudu, to do głosu dochodzi intuicja. Cała rzecz rozbija się więc o czas, wysiłek i coś, co mnie zaskoczyło – równowagę. O ile na samym początku silniejsze emocje, takie jak zachwyt, czy wzburzenie wydają się niezbędne, o tyle później konieczna jest metodyczna praca podczas godzin spędzonych w pracowni. Oby tylko nie przesadzić, nie „zagadać” obrazu i utrzymać jego świeżość. Zaskoczył mnie również rezultat. Okazało się, że mimo poczucia zmienności, wciąż pobrzmiewają we mnie te same nuty nostalgii. Nie ważne, jak silne pozytywne i negatywne emocje mną targają, na koniec i tak przychodzi opanowanie. Czy to słoneczny poranek, chwila tuż przed ulewą, droga przez bezkres, czy mglisty jesienny dzień – okazuje się, że zawsze ostatecznie towarzyszy mi spokój. To deptak codzienności, próba prawdy o sobie, odkrywanie uczuć zastygłych, ale potrzebnych. Mam nadzieję, że w tych pracach jest więcej mnie, niż w rozmowach. To nie tyle pejzaże, ile pewne stany skupienia. Stany mej duszy i wierzę, że niejednokrotnie odbiorca odnajdzie w nich siebie. Kolor jest u mnie nośnikiem emocji. Zwyczajne codzienne otoczenie wprawia mnie w nieustanny zachwyt i jest to raczej nie tyle patriotyzm lokalny, ile miłość do gór. Przekonanie, że moje miejsce na Ziemi z pewnością znajduje się nie niżej, niż kilkaset metrów nad poziomem morza.

Fluktuacje to wahania i choć pojęcie to na ogół stosowane jest do opisu procesów ekonomicznych, to postanowiłam zaadaptować je na potrzeby cyklu prac malarskich. Z jednej strony jest to słowo ładnie brzmiące. Ma w sobie jakąś ciekawą

płynność. Z drugiej – to zapis zmian mojego nastroju. Kotłują się one w mojej głowie niczym lawa wewnątrz uśpionego wulkanu. A ostatnie miesiące pandemicznej rzeczywistości nie sprzyjają stoickiemu spojrzeniu na świat. W licencjackiej pracy artystycznej skupiałam się na wnętrzach mojego domu rodzinnego. Niekiedy pojawiał się tam pejzaż, ale bardzo symbolicznie. Po kilku latach – w obecnym cyklu – opuściłam mury „żółtego domku na wzgórzu” i wyruszyłam w podróż. Chętnych zapraszam na wędrowkę po pagórkach moich rodzinnych stron i dolinach duszy.